

Wawrzyniec Podrzucki

Netherlanden

Redakcja: Marcin „malakhi” Zwierzchowski

Przebudzenie było nagłe i przerażające, gdyż wychynał na jawę z najprawdźniejszego sennego koszmaru, a nie z nicości pozbawionej obrazów i dźwięków, jak dotąd bywało. Czarne od sadzy twarze, armia błyszczących potem torsów, oczy martwe niczym żużel, który przesypują gołymi dłońmi do powygniatanych wagoników, choć jeszcze się dymi. Wszystko podmalowane krwistą łuną z ogromnego pieca i zanurzone w łoskocie parowej kuźni. Rytmicznym jak tykanie zegara, tyle że zwielokrotnionym ponad wytrzymałość jakiegokolwiek ucha.

Zerwał się zapomniawszy, że tuż nad wezłowiec biegnie wręg. Uderzył w niego boleśnie i potracił blaszany kubek, który bluznął na podłogę resztkami kawy. Nawet tego nie zauważył, zapatrzony w cyferblat nad stolikiem i w czarne wskazówki, które oznajmiały mu rzecz zgoła niewiarygodną: było dwadzieścia po jedenastej! A przecież zawsze wstawał o drugiej, z dokładnością co do minuty. Zawsze!

Nie, nieprawda, nie zawsze. Kiedyś było inaczej i on sam był inny — bardziej żarliwy i pełen wiary, że odnajdzie to, za czym prawie pół wieku temu wyruszył na pokładzie parowca „Netherlanden”. Miał określony cel. Ale kilkadziesiąt lat czołgania się przez bezmiar molekularnego obłoku, samotność oraz monotonia sztucznych pokładowych dni zmieniły go w człowieka otępiatego i niemal doszczętnie odartego z nadziei.

Teraz jego świat opierał się na sztywnym przestrzeganiu harmonogramu, który sobie narzucił, żeby zupełnie nie zwariować. Doba po dobie powtarzał ten sam niezmienny rytuał: przekładnia foldera do końca, kurek zastawki „A” trzydzieści pięć i zastawki „B” czterdzieści cztery stopnie w lewo, dźwignia taśmociągu w dół, odebrać dzienny urobek z czerpaka, posortować, spuścić mieszaninę do konwerterów na rufie, sprawdzić ciśnienie i temperaturę pary w każdym z ośmiu kotłów, sprawdzić szczelność przyłączy wielodziała, sprawdzić, sprawdzić, sprawdzić. . .

W głębi duszy był świadom, że to wszystko tylko pusta rutyna, namiastka, szara wata, którą zapełnia czas w oczekiwaniu na coś o wiele ważniejszego. Ale z upływem lat przyzwyczajenie stało się jego pierwszą naturą i nie potrafił już wyrwać się spod jego władzy. Dlatego z takim niedowierzaniem wpatrywał się w tarczę zegara, nie pojmując jak to możliwe, by jego uporządkowany świat poślizgnął się nagle o całe dwie godziny i czterdzieści minut. A do tego jeszcze ten sen, który chyba się jeszcze nie skończył, albowiem wciąż słyszał regularne dudnienie.

Przez chwilę siedział bez ruchu, a potem ostrożnie wyciągnął rękę i przytknął dłoń do chropowatej ściany. Zimny metal drżał pod palcami powolnym bom-bom-bom, jakby jakaś tytaniczna punca uderzała raz po raz w stalową więźbę statku. Myśl, że w końcu wydarzyło się niewyobrażalne, że po latach nienagannego funkcjonowania coś się w okręcie zepsuło, była trudna do przyjęcia, wręcz upokarzająca. Przecież dbał o „Netherlanden” dzień w dzień bez ustanku i z całym poświęceniem pilnował, by każdy z elementów statku działał bez zakłóceń. Jeśli w pracę leciwych mechanizmów wdarł się nieoczekiwany zgrzyt, jeśli gdzieś oblużował się choćby jeden z tysięcy sworzni albo, pokonana zmęczeniem materiału, zerwała się bodaj jedna mutra, to

tylko z tej przyczyny, że on czegoś nie dopatrzył, o czymś zapomniał, lub coś pominął.

Niepomny dojmującego bólu w skroni wyskoczył z łóżka. Podłoga dygotała pod jego stopami, cała struktura parowca rezonowała jak ogromny dzwon i rdza osypywała się drobnymi proszkiem w rytm głuchych uderzeń. Zupełnie, jakby ktoś dobijał się z zewnątrz przy pomocy ćwierćtonowego młota, przemknęło mu przez głowę. Natychmiast jednak przyszła trzeźwiejsza refleksja. Nikt nie mógł taranować kadłuba okrętu, to oczywiste. Statek obracał się wokół własnej osi. Parowe silniki nadawały mu pewne przyśpieszenie, zbyt słabe jednak, by zapewnić komfortową grawitację podczas dłuższych lotów. Dlatego też „Netherlanden” kręcił się jak wałek gigantycznego fonografu, w tempie jednego pełnego cyklu na każde piętnaście sekund. Skoro zaś tajemnicze uderzenia wstrząsały statkiem z taką samą częstotliwością, to wniosek nasuwał się prosty. Jakiś element konstrukcji — może płat poszycia albo szprycha czerpaka — zmienił nagle swe położenie, zaburzając nieskazitelną geometrię parowca, i teraz jeden wielki kawał metalu tłukł się o drugi. A jeśli uszkodzi coś jeszcze albo oderwie się całkowicie?

Wybiegł na korytarz, wąski i ciemny jak kopalniane wyrobisko. Zakratowane lampy w pozycji na „noc” ledwie mżyły, ale on znał tu na pamięć każdy centymetr i mógł przemierzać wszystkie zakamarki statku z zamkniętymi oczami. Co jednak jeszcze kilka godzin temu było tak znajome i przyjazne, teraz zdawało się wrogie i oskarżające. Dopuszciliście do awarii, dudnił okręt, zawiodłeś mnie! Nieprawda, to nie moja wina! — chciał odkrzyknąć na całe gardło. Zrobiłem wszystko, jak należy, jak każdego dnia. Ja wszystko zaraz sprawdzę i naprawię, usunę wszelkie, nawet najdrobniejsze usterki, przyrzekam!

Przeskakując po dwa szczeble naraz, zsunął się na dno jednej z obwodowych sztolni i wąską inspekcyjną kładką dotarł do śluzy. Skafander, choć nieużywany od tylu lat, był w nienagannym stanie, bo i o niego dbał wedle określonych reguł. Kilka obrotów korbą i pobłyskujący mosiężnymi okuciami ciężki strój wyjechał ze schowka, wlokąc za sobą powietrzne węże. Wyglądały na w pełni sprawne, tak samo jak pozostałe elementy instalacji do próżniowych eskapad. Jakżeby inaczej, skoro konserwował je nie dalej niż tydzień temu? Teraz jednak nawet najbardziej nieprawdopodobne wydawało się możliwe, toteż pomimo zdenerwowania nie pozwolił sobie na zbagatelizowanie procedur. Krok po kroku sprawdził obydwie wahadłowe sprężarki, szczelność przewodów i spojeń skafandra oraz wskazania manometrów w każdej z roboczych pozycji. W porządku, w porządku i tu też w porządku...

Z niejakim mozolem — kiedyż to przywdziewał ten przerobiony akwaulung po raz ostatni? — wtoczył ciało do wnętrza skafandra, omal przy tym nie wybijając sobie oczu odstającymi reduktorami hełmu. Roztrzęzionymi palcami dokręcił go do kryzy i włączył kompresor. Powietrze z cichym sykiem nadęło gumowaną podszewkę, ciśnienie w komorze śluzy spadło do zera, zębate koła przekładni gładko uwolniły zewnętrzny rygiel. Masywny blok żelaza odsunął się z drogi i ostatecznie czerń kosmosu rozwarła się przed nim.

Nieudolnie, gdyż lata bez ćwiczeń pozbawiły go wprawy w obcowaniu z nieważkością, zrobił zwrot przez plecy. Nogami zaplątał się w asekuracyjnej linie i grzmotnął stalowym czerepem skafandra o odstające pokrętko włazu, aż zadzwoniło mu w uszach. W końcu jednak zapanował nad swymi nieskoordynowanymi ruchami, włączył indukcyjny reflektor... i o mało co nie wypuścił go z ręki.

Wielki arkusz pancерnej blachy odspoił się niepojętym zrządzeniem losu i machał ku niemu leniwie niby skrzydło jakiegoś anioła ciemności. Przy każdej rewolucji statku odrywał się coraz bardziej i w ostrym świetle reflektora widać było, jak krótkimi seriami odpryskują kolejne z przytrzymujących go nitów. Odpryskują i lecą w dal, lecz przez chwilę za ledwie, bo coś je natychmiast sieka, mieli i w końcu rozprasza w szybko niknący obłoczek pyłu.

Chwycił się zimnych klamer i najszybciej jak potrafił zaczął przesuwac się ku wyrwie w kadłubie. Czy jednak był w tym sens? Bo c6z zrobi, kiedy juŝ tam dotrze, nieporadny i powolny w swej zbroi? Przydusi blachę obcasem? Do załatania takiego ubytku potrzebna była nitownica, urządzenie skomplikowane i wielce niewygodne, którego i tak nie miał przy sobie. Musiałby zawrócić do środka, uruchomić ją i naturalnie sprawdzić, czy machina nadal działa w zgodzie ze wszystkimi specyfikacjami, taki przeklęty mus. Widział juŝ jednak jasno, że nie zdąży, że obluzowany fragment poszycia odpadnie lada moment i puści się w orbitalny pląs wokół „Netherlanden”.

A może gdyby tak legł tam całym swoim obecnym ciężarem blisko trzystu kilogramów? Pomysł, który z miejsca przegonił precz jako całkowicie idiotyczny — wszak nie ważył tu nic, a nawet „mniej niŝ nic” z racji siły odśrodkowej. Wszystko, co teraz mógł, to patrzeć bezsilnie na prujący się coraz bardziej metalowy szew. W końcu strzeliły ostatnie nity i poczerniały żelazny splacheć zawisł swobodnie w przestrzeni. Niedługo jednak trwał w tej pozycji, gdyż nagle coś odciągnęło go od statku. Trzynaście jardów kwadratowych solidnej, walcowanej blachy zakreśliło się niczym piórko na wietrze i jawnie drwiąc z praw mechaniki niebieskiej przepadło w ciemnościach kosmosu.

Ogłupiały, wycofał się do wnętrza okrętu. Jak mogło do tego dojść, gdzie popełnił błąd? Które z wymaganych okresowo prac konserwacyjnych zaniedbał? Żadnych, tego był pewien ponad wszelką wątpliwość! Fakt pozostawał jednak faktem — „Netherlanden” doznał brutalnego okaleczenia i co gorsza, popadł w lekką, acz na dłuższą metę niebezpieczną precesję. Niezdecydowany, postąpił krok w kierunku wewnętrznych wrót śluzy i zatrzymał się, dysząc niespokojnie. Nie, tak tego zostawić nie może, kim by się okazał? Musi tam wyjść raz jeszcze, zbadać dokładnie cały pancierz w okolicy uszkodzenia, wykryć defekt i przywrócić rzeczy do ich poprzedniego stanu. W warsztacie muszą być przecież jakieś zapasowe arkusze blachy, tak samo zresztą jak i nity w odpowiednim asortymencie. To się naprawi, to się wszystko naprawi, tylko wpierw trzeba ustalić przyczynę, żeby podobna historia więcej się nie powtórzyła. Zaburzenie w ruchu obrotowym okrętu też się w ten czy inny sposób skoryguje, o ile arytmometr nadal jest sprawny. Bez niego nie obliczy niezbędnych parametrów, głowa juŝ dawno nie ta. . .

Klamra za klamrą przesunął się od włazu do miejsca uszkodzenia, co kilka metrów zatrzymując się dla złapania tchu. Ale choć tańczył wokół dziury niczym emerytowany cyrkowiec, choć zaglądał do niej ze wszystkich stron i cał po calu obmacywał brzegi, żadnej nieprawidłowości nie znalazł. Pancerna płyta nie miała prawa utracić kontaktu z resztą kadłuba, a jednak tak się stało z przyczyn zupełnie nieodgadnionych, a przez to napawających go autentycznym strachem. Drżąc na całym ciele — z zimna, a może z lęku — zmusił się jeszcze do zliczenia otworków po nitach i zaryglowawszy właz, pośpieszył do warsztatu.

* * *

Nie mylił się, kilka okazałych czworoboków półtoracalowej stali wisiało w kleszczach suwnic. Na pierwszy rzut oka zadanie zdawało się niewykonalne. Jak, po pierwsze, wydobędzie taki blok żelastwa na zewnątrz? Przecież nie wytaszczy go stąd w jednym kawalku, nie ma nawet którędy. Zaś krojenie na mniejsze wstęgi zabierze mu całą wieczność zważywszy na sprzęt, jakim dysponował. Ale czy miał jakąś alternatywę? Nie miał. Choćby nawet pilnikiem, to poszatkuje to draństwo, c6z począc. A potem nawierci dziury, osiemset sześćdziesiąt sześć plus te, które wypadną na krawędziach zakładek. Benedyktyńska praca, niemniej czasu na jej wykonanie miał przecież aż nadto.

Zaskrzypiały łańcuchy wyciągarki i pierwsza z brzegu płyta wyjechała na środek pracowni. Mocno co prawda nadgryziona korozją, ale pod chropowatymi liszajami tlenku stal wciąż była zdrowa. Zdjął szlifierkę z narzędziowego stojaka, przejechał opuszką palca po kamieniu — przez lata będzie

tym ciął, nie ma dwóch zdań — i zrezygnowany wrócił do dyndającego leniwie żelaza.

Odkąd zerwany segment rozpląnął się w próżni i przestał grzmocić o kadłub, znów zapanowała cisza, błoga i naturalna. Tylko od czasu do czasu podkreślał ją krótki syk pary z wentyli bezpieczeństwa, dobroduszone bulgotanie chłodziwa w węzownicach i słabe poskrzypywania dochodzące co raz to z innej strony — efekt nieznacznych różnic termicznych między poszczególnymi sekcjami okrętu. Aż żal było zakłócać ten świątynny spokój grubiańskim wizgiem karborundu, ale nie było innej rady.

Z pomocą przebijaka oraz kawałka szyny w roli przymiaru wyźłobił pionową linię cięcia, gumową rurkę zakończoną pedałem podłączył do zaworu szlifierki i w końcu zabrał się do roboty. Kamień zazgrzytał o żelazo, poleciały iskry, buchnął tuman rdzawego kurzu. Niesporo mu szło; kilkunastofuntowa maszyna bez przerwy uskakiwała na boki i ręce mdlały od zmagania z jej złośliwą niesubordynacją, a efekty wciąż były znikome. Co chwila odchodził i przyglądał się swemu dziełu krytycznie, z wolna dochodząc do wniosku, że chyba jednak porwał się na pracę ponad siły. No nic, pociągnie jeszcze ze dwa, trzy razy i zrobi sobie dłuższą przerwę, bo mięśnie zaczynały odmawiać posłuszeństwa, a w uszach jazgotało mu nawet wtedy, gdy kamień przestawał się obracać. A może to po prostu echo?

Owszem, to było echo, ale z pewnością nie jego szlifierki. Płaczliwy dźwięk dochodził gdzieś z głębi parowca, wibrował w zawieszonym powietrzu i przez kilka sekund wypełniał swoim ostrym akordem cały przestwór „Netherlanden”. Po czym urwał się gwałtownie, by w chwilę później powrócić, tym razem okraszony dodatkowo chaotyczną serią postukiwań i przeciągłym zgrzytem, jakby ktoś mocował się z zapiekłą śrubą. Ktoś się mocował? Jaki ktoś, u licha, przecież poza nim nikogo tutaj nie było!

Nikogo nie ma i być nie może, wymamrotał, ale te słowa wcale nie przyniosły mu spokoju, zaś oczy rozbiegły się po warsztacie w poszukiwaniu jakiegoś godziwego oręża. Nie znalazłszy niczego lepszego prócz paru łokci żelaznej rury, złapał ją jak maczugę i ruszył w stronę źródła dźwięków, co dwa kroki przystając i nadstawiając ucha.

Tajemnicze, a zarazem ewidentnie znajome odgłosy — pisk ostrza wgryzającego się w stal, chrobot wiertła, jęk rozpruwanej bezceremonialnie blachy — wydawały się dobiegać od strony śluzy numer jeden, tej samej, przez którą godzinę temu wychodził w przestrzeń. Lęk pomieszał się w nim z gniewem tak raptownym i silnym, że nie zostawiał już miejsca na jakiegokolwiek logiczne dociekania. Zaciskając pięści pognął w kierunku bluźnierczych hałasów, omal nie gubiąc nóg na progach awaryjnych grodzi. Cały harmider ucichł jednak nim przebył połowę drogi. Z rozpędu wpadł na odrzwia, zatoczył się i upuścił swój mizerny oręż. Rura zadzwoniła o podstopnik, odbiła się od niego i w aureoli błękitnych isker wylądowała na podłodze.

Nie wierzył własnym oczom. Z kabli doprowadzających elektryczność do lamp i pozostałych urządzeń w śluzie pozostały jedynie żalosne wiechcie drutów i woskowanego papieru do izolacji. Rozpaczliwie rzucił się na wajchę i pociągnął ją w dół, ale za pancerną szybą wjazdu nie zapaliło się żadne światło, zaś drewniana rękojeść została mu w dłoni. A kiedy spróbował uwolnić rygle i wejść do środka, alarm zawył rozdzierająco. Po drugiej stronie dubeltowych drzwi śluzy była próżnia!

To się nie dzieje naprawdę, jęknął w duchu, odrzucając z wściekłością ułamaną dźwignię wyłącznika. Przecież jestem w głębokiej, międzygwiazdnej pustce i nikt mi nie może cał po calu rozbierać okrętu, do diabła, bo tu nikogo nie ma, nikogo oprócz mnie! Koszmar senny, wciąż się z niego nie przebudziłem, oto jedyna prawidłowa odpowiedź!

A jeśli mimo wszystko istnieje inna? Owszem, nad niezliczonymi mechanizmami „Netherlanden”, nad tym, by statek działał jak należy i posuwał się nieprzerwanie do przodu, czuwał z maniakalną, wręcz nabożną pieczołowitością. Ale już dokąd ów stary parowiec żegluje, a wraz z nim również i on sam, stało się w ciągu tych wszystkich minionych lat sprawą drugo-

rzędną, błahostką niegodną uwagi i zbytecznym marnotrawieniem czasu, który i tak pochłaniały mu bez reszty wieczne przeglądy i korygowanie pomniejszych usterek. Nawigację zaniedbał, a właściwie w ogóle przestała go obchodzić. Czas odliczał już nie liczbą przebytych milionów mil, lecz wachdami i sekwencją prac, zapisanych w grafiku. Na mostek nie zachodził od... od... Pamięć zawiodła go po raz kolejny. W każdym razie od bardzo dawna. Być może był to z jego strony błąd i równie prawdopodobne, że na jego naprawienie jest za późno, tym niemniej próbę naprawy podjąć musi, i to natychmiast. A zatem do sterówki!

Jednak widok poszarpanych kabli sprawił, że w sekundzie zmienił zdanie. O nie, złapie wandalę i przepędzi na cztery strony Universum, choćby to był sam diabeł wcielony! Nie dbając, czy w jego zapiekłej determinacji jest choćby krzta rozsądku, podjął upuszczony drąg i ruszył biegiem wzdłuż inspekcyjnej obwodnicy do następnej ze śluz. Okręt miał ich w sumie osiem, z czego cztery rozmieszczone symetrycznie wokół centralnego torusa. Nie możliwe, by zdążyli już zniszczyć wszystkie, nie mieli po prostu kiedy!

I tak też, ku jego niewymownej uldze, było w istocie. Śluza numer dwa nie przywitała go żadnymi śladami dewastacji. Przekładnie zazębiły się gładko, rygle odskoczyły posłusznie, masywne wierzeje ustąpiły z satysfakcjonującą lekkością dobrze naoliwionych trzpieni. Prąd elektryczny również dopływał z głównej maszynowni i w ogóle wszystko w przedsiönku śluzy było w swoim zwykłym, nieskazitelnym ładzie.

Nie jest źle, pomyślał, z miejsca podniesiony na duchu, wcale nie jest tak źle. Ale czasochłonnymi procedurami kontrolnymi nie zaprzętał już sobie głowy. Sprawdził jedynie poziom mieszanki oddechowej w przenośnym cylindrze (osiemdziesiąt dwa procent nominalnej pojemności, wystarczy aż nadto), po czym w wielkim pośpiechu przyoblekł ponownie niewygodny próżniowy strój. Czekał na wyrównanie się ciśnień śledził leniwy ruch strzałki manometru i jednocześnie dumiał nerwowo co też uczyni, stanąwszy z tajemniczymi intruzami twarzą w twarz. Być może ktoś wziął jego okręt za porzucony, bezładny wrak i wszystko skończy się na przeprosinach, gdy ów ktoś dostrzeże ewidentną pomyłkę? Albo też będzie zmuszony z nimi walczyć. Tylko jak? Spierze im tyłki półcalówką? A dysponował czymś oprócz tego? Owszem, raketnicą. Oręż niemal równie zabawny, ale i tak lepszy niż żelazna pałka.

Wyjął sygnalizacyjny pistolet ze schowka nad kompresorem i zważył go w ręce. Pękata lufa i nieproporcjonalnie duża rękojeść z pewnością nie wzbudzały jakiegoś szczególnego respektu. Tym niemniej jednak celny, bądź nieostrożny strzał mógł spowodować groźne skutki. Długopalne flary miały tendencję klejenia się do przedmiotów i wypalania w nich kłopotliwych otworów, o ile nie zostały dostatecznie szybko zgaszone. A choćby tylko strzelił na postrach lub oślepił przeciwnika, to też coś. Złorzeczając grubym rękawicom załadował nieporadnie komplet naboju do bębna, przytroczył pistolet do jednej ze sprzączek kombinezonu i raz jeszcze wyszedł na zewnątrz „Netherlanden”.

W pierwszej chwili nie bardzo wiedział, na co patrzy. Poczł się momentalnie zdezorientowany i dziwnie nie na miejscu, jak ktoś, kto pomylił drzwi i wszedł nie tam, gdzie powinien. W którąkolwiek stronę nie skierował światła — na dziób, ku rufie czy po obwodzie — wszędzie napotykał czarne jak smoła krechy szpecące kadłub. To nie jest mój okręt, pomyślał z irracjonalnym oburzeniem, on nigdy nie był taki brudny! Dopiero po kilku sekundach dotarło do niego, że spogląda na rzecz z niewłaściwej perspektywy. Zaczepiony jedną ręką o cembrowinę śluzy, z obłym sklepieniem „Netherlanden” tuż nad głową, widział wszystko zbyt płasko. Musi się oddalić.

Fiknąwszy niezgrabnego kozła, złapał się masztu wyciągarki i podpiął karabińczyk do kabłąka przesuwownicy. Odbicie, jazda przez trzydzieści jardów z okładem, jeszcze jedna mało elegancka przewrotka u samego szczytu i...

— Och, nie!

Widziane z mniej ostrego kąta czarne kreski objawiły swą prawdziwą naturę — wyrw ziejących w zewnętrznym pancerzu, podobnych do tej pierwszej. Tyle, że teraz kadłub był nimi podziurawiony jak rzeszoto, odsłaniając wnętrzości — oszronione rury, warkocze kabli i obłe grzbiety cystern wpasowanych między wręgi. Kawalek ciśnieniowego węża, powykręcanego i zamrożonego w swej esowatości na zawsze, minął jego wizjer zaledwie o cale i natychmiast utonął w mroku.

— Nie, niemożliwe... — mamrotał zbielełymi wargami, kierując snop światła to tu, to tam. — Niemożliwe!

Latarnia zaczęła przygasać, lecz jej mała korbka zupełnie nie pasowała do potężnej rękawicy, a do tego jeszcze dłoń trzęsła mu się potwornie. Klnąc głośno odpiął pistolet i przymrużywszy powieki wystrzelił trzy flary, jedna po drugiej.

Magnezjowy blask zalał statek od dziobu po rufę i ostrymi kreskami wyrysował na atramentowo-czarnym tle wielką sieć czerpaka. Nie całą, rzecz jasna, bo każda z jego głównych szprych miała półtorej mili. Jednak to, co ujrzał, wystarczyło w zupełności, żeby krew momentalnie odbiegła mu z policzków. Gigantyczny parasol ze srebrnego muślinu wyglądał jak strzaskany przez gradobicie!

To była najważniejsza i zarazem najpiękniejsza część „Netherlanden”, ważniejsza nawet od samych silników, które byłyby bez niej równie bezużyteczne, co eksponaty w muzeum. Czerpak stanowił konstrukcję niemal bliską ideałowi, wspaniałe połączenie technicznej maestrii ze zwiewnym czarem motyli skrzydeł albo kwiatu chryzantemy. Na sześćdziesięciu czterech smukłych dźwigarach i zwierających je chiazmach rozpięta była pajęczyna utkana z cieńszych od włosa drucików — gros wykonanych z czystego palladium, pozostała część z nieco bardziej egzotycznych materiałów. Tym kosmicznym niewodem „Netherlanden” zagarniał rozproszoną pomiędzy gwiazdami materię i żeglując na wskroś magnetycznych pól Galaktyki zbierał dodatkowe żniwo w postaci prądu, indukowanego w metalowej kanwie czerpaka, wystarczająco dużego dla podtrzymania elektrostatycznej lepkości. To on wylapywał z obłoku cząstki stałe, podczas gdy zjonizowane atomy i molekuly grzęzły w liniach sił wielkiego parasola. Jemu pozostawało już tylko składać go raz na dwadzieścia cztery godziny i przelączać zastawki rurociągów oraz pomp, które odsysały nagromadzone dobro.

Tak, pomyślał z dławiącym poczuciem straty, czerpak to była fenomenalna konstrukcja. Była, bo teraz z misternej koronki zostały jedynie jakieś żalozne strzępy i większość szprych sprawiała wrażenie gałązek ponadzeneranych przez robactwo. Flary nieubłaganie oddalały się od statku i światła było coraz mniej. To mogło być złudzenie, ale przysiągłby, że jeden z dźwigarów czerpaka zaczął spływać własną materią jak topniejąca świeca. Spływać i znikać, nim połyskujące grudy metalu rozproszyły się w luźne krople...

Oniemiały patrzył na znikającą szprychę czując, jak resztki jego spokoju ducha topnieją razem z nią. Przecież takiego uszkodzenia nie zreperuje żadnym sposobem, a „Netherlanden” bez parasola to już tylko martwe, bezwolnie dryfujące dziewięćset tysięcy ton złomu! Co się dzieje? Kto mu to wszystko robi?! I co ma teraz począć? Wrócić jak najprędzej do sterówki, ot, co. Inne możliwości w tej chwili nie widział.

* * *

Coś łomotało i tłukło się zapamiętałe, ale czy był to kolejny fragment dewastowanego statku czy tylko jego własne serce, nie miał pojęcia. Chciał tylko dostać się jak najszybciej do tej przeklętej sterówki. Precesja „Netherlanden” stawała się coraz bardziej wyczuwalna. Okręt wibrował i jęczał pod torturami niezbilansowanych naprężeń, a wąska kładka bez przerwy chciała uciec mu spod nóg. Biegł zataczając się i co kilka kroków łapał za rozchybotane łańcuchowe poręcze, które podzwaniały ogniwami niczym kajdany galerników. A jeśli sterówki też już nie ma, jeśli na końcu tego korytarza

czekają go jedynie zatrzaśnięte na głucho grodzie? Ktokolwiek czynił gwałt jego okrętowi, robił to zatrważająco szybko, efektywnie i bez cienia skrupułów. Oczami wyobraźni widział już gołe wręgi, kikuty tuneli inspekcyjnych i poszarpane węże siłowników, tryskające w otwartą przestrzeń pióropuszcami momentalnie rozprężającej się pary.

Na szczęście korytarz okazał się drożny na całej swej długości i żadna zamknięta gródź nie wyrosła mu nagle przed nosem. Ale dziobowa sekcja okrętu przywitała go sceną kompletnego nieładu. Co nie było przymocowane na stałe — nadżarte pleśnią książki, pęknięta tuba patefonu, linoryty i korki od karafek — szurało teraz, turlało się bądź koziołkowało z grzechotem, w zależności od kształtu i swego materialnego charakteru. Trzaskały pootwierane drzwiczki, co drugi zegar miał stłuczone szkło i łyskał ku niemu nagą białą emaliowaną tarczą, a zwoje map powypadały ze swych przegródek i rozwinęły się niczym dywaniki.

W pierwszym odruchu rzucił się, by je pozbierać i pieczołowicie zrolować, natychmiast jednak odepchnął je na bok z niecierpliwością. Nie po to tu przyszedł, żeby robić porządkę, lecz po odpowiedź, po jakiegokolwiek wyjaśnienie tej makabreski. Dziennik pokładowy, gdzie widział go ostatnim razem? Ani chybi w sejfie nad główną konsolą, wszak tam było jego właściwe miejsce. Sejf jednakże okazał się pusty, jeśli nie liczyć kłębow kurzu zmieszanych z pogruchotanym szkłem jakiejś butelki. Na szron i ciemność, gdzież więc... Tam!

Porwał dziennik spomiędzy odłamków na podłodze i chwiejnym krokiem wrócił z nim do głównego pulpitu. Zaraz wszystko stanie się jasne, musi stać się jasne, przecież każdy skutek ma swoją przyczynę i każdy ciąg zdarzeń można rozłożyć i zanalizować krok po kroku. To tylko poezja i jeszcze parę innych wynaturzeń ludzkiego umysłu jest skomplikowanych oraz wewnętrznie niespójnych. Cała reszta Wszechświata wraz z zaludniającymi go bytami i choreografią ich postępów jest, gdy spojrzeć na nie z poziomu linii bazowej, zasadniczo pojmowalna i czytelna jak mechanizm chronometru. Działania podążają według prostych schematów, ich motywy wynikają z określonych źródeł, a konsekwencje zawsze można przewidzieć, jeśli tylko znamy dane początkowe, nieprawdaż? On zaś nie jest wyjątkiem od tej uniwersalnej reguły, wystarczy zatem, aby prześledził swoją własną historię. Czuł, że to, w czego centrum teraz się znalazł, jest wypadkową jego przeszłych decyzji, a jedynym problemem było, że ich nie pamiętał. Ale po to właśnie istnieją dzienniki pokładowe, żeby dopomóc ułomnej pamięci dojść sedna, prapoczątku, tego punktu w czasie i przestrzeni, gdzie przysłowiowy motyl zatrzepotał skrzydłami i obruszył całą lawinę. Od czego zaczęła się ta podróż i dokąd zmierzał, oto jest pytanie...

Dziennik, który ostatni raz trzymał w ręku dziesięć albo i więcej lat wstecz, wyglądał jak nowy, bez jednego śladu po palcach czy drobiny kurzu na mosiężnej oprawie z napisem »FSS „Netherlanden”«. W pierwszej chwili umknęło mu to jednak zupełnie, bo nie okładki go interesowały, lecz wewnątrz. Nerwowym ruchem otworzył wolumin na pierwszej stronie z mozaiką rejestracyjnych pieczęci, datą opuszczenia stoczni oraz dziewiczego rejsu, nazwą armatora i innymi głupstwami, które w tej chwili interesowały go mało. Dalej, dalej! Gdzie, do kroćset, są jego własne wpisy?

Ku swemu zdumieniu znalazł je, a właściwie tylko jeden, dopiero na szóstej stronie. Lakoniczny tekst, skreślony szybkimi, niedbałymi pociągnięciami pióra:

„Dłużej tego nie zniosę. Gdzieś musi być coś innego, jakiś sens, jakiś cel nadrzędny i ważny sam w sobie, jakaś prawda ostateczna i wyjaśnienie powodów naszej egzystencji, naszego bytu opartego na bezustannym niszczeniu.”

Dwukroć przewertował dziennik od deski do deski, nie znajdując niczego prócz owych czterech enigmatycznych zdań. Niczego, mimo że przez pierwsze lata podróży prowadził zapiski z całą sumiennością. Owszem, później się

w tym zaniedbał i w końcu całkowicie zaprzestał pisania, ale choć nie pamiętał już mnóstwa szczegółów z przeszłości, tylu pustych stron nie było!

Zły, trzasnął okładkami i odepchnął od siebie dziennik. A więc wyruszył samotnie w kosmos, żeby szukać rozwiązania zagadki człowieczego bytu? Może i tak, może rzeczywiście taki impuls pchnął go niegdyś w czarną otchłań, cóż jednak mu po tej wiedzy teraz, jakież z niej pożytek w jego obecnej sytuacji? I gdzie, do diabła, podziały się te wszystkie przeklęte zapiski — dane nawigacyjne, poprawki kursu, współrzędne portu docelowego, jeśli takowy w ogóle istniał? Zupełnie, jakby ktoś wykopał dziennik w spirytusie, odbierając mu tym samym ostatnią szansę powrotu do wspomnień. Tylko dlaczego ocalał ten jeden akapit? Wskazówka? Memento? Surrealistyczny żart? Czyż żart, na Boga?!

Powoli i z nadzwyczajnym wysiłkiem, niczym furgon grzęznący w błocie, zaczął sobie przypominać różne ogólniki. Bez wątpienia znajdował się gdzieś we wnętrzu Voertzee Wolk, wyjątkowo gęstego nawet jak na astronomiczne standardy skupiska materii o objętości kilkunastu parseków sześciennych. Zasobnego w węgiel, wodór i tlen — wszystko, co trzeba, by bez obaw o wyczerpanie paliwa sycić parowe krążowniki, takie jak jego „Netherlanden”. Obłok krył w sobie kilka układów planetarnych, z czego jeden zamieszkały — tyle było wiadomo na pewno. Poza tym jednak stanowił ogromny, czarny wór pełen zagadek i niewiadomych. Tabele astrogacyjne były fragmentaryczne i niespójne, a w historiach, do których mozolnie wracała jego pamięć, więcej było bajdurzenia i konfabulacji niż faktów. Czyż jednak nie jest powiedziane, że w każdej, nawet najbardziej fantastycznej legendzie tkwi ziarenko prawdy? I któż tak naprawdę wie, co pływa w na wpół organicznym bulionie Voertzee Wolk? Kosmiczni bukanierzy, zbłąkane flotylle z innych światów, niewidzialne monstra żywiące się metalem? Wszystko już wydawało mu się w tej chwili możliwe, absolutnie wszystko.

W następnej sekundzie uderzyła go myśl, że wytłumaczenie może być prostsze i daleko bardziej prozaiczne. Ze oto po latach ślepej żeglugi istotnie dokądś przybył, być może na zaparkowaną w bezkresie obłoku stację albo na obrzeża sąsiedniego systemu, i tylko otumaniony paniką oraz zaskoczeniem przeoczył oczywiste tego oznaki. Ruch tutejszych okrętów mógł łatwo zignorować, nawoływań portowych radiolarń nie odebrać, światła pozycyjne orbitalnych doków wziąć za przebijające się przez mroczny welon światła pobliskich gwiazd. Choć prawdę mówiąc, żadnych gwiazd podczas swej niedawnej bytności na zewnątrz nie dostrzegł. Ale też nie one zaprzętały wówczas jego uwagę. . .

Chwyając się czego popadło dla utrzymania równowagi, ruszył ku drabince wiodącej do dziobowego obserwatorium. Nie lubił tego zakątka statku i ostatnimi czasy w ogóle go nie odwiedzał ani też nie zaglądał do centralnego tubusu z poziomu wyższego niż górne piętro maszynowni. Przejścia z zewnętrznych sekcji w nieważkość i klaustrofobiczną ciasnotę głównego szybu zawsze przyprawiły go o dyskomfort. A teraz dodatkowo przyjdzie mu zmagać się z precesją „Netherlanden”. I to w rurze o średnicy zaledwie dwunastu stóp! Czuł się jak głupek, co to ku ucieście gawiedzi został wepchnięty do beczki śmiechu. Dudnienie, które niosło się ponurym echem z dna żelaznej studni rozsadało mu głowę, pałaki szczebli wciąż umykały spod palców, a plecy, kolana i barki raz po raz odbijały się boleśnie od twardych ścian niczym kamyki w potrząsanej wściekle grzechotce.

Do obserwatorium dowlókl się bogatszy o kilkanaście siniaków i zacząłki najprawdziwszej choroby morskiej. Niewielka kopuła z berylowych tafli, wieńcząca „Netherlanden”, zataczała się już po okręgu o średnicy czterech albo pięciu jardów. Przy takim wybiciu z osi astrokompas był całkowicie bezużyteczny, teleskop jednak stanowił inżynierskie arcydzieło i żyroskopowe serwomechanizmy wciąż zdolne były utrzymać przyrząd w zadanej pozycji. Ale on miał tylko swój zmaltretowany błędnik i poobtłukiwane ręce, które w tej chwili chciały przede wszystkim znaleźć jakiś solidny punkt oparcia.

Regulacyjne pokrętko lunety nawinęło się jako pierwsze. Złapał zań bez namysłu i fruując niczym orzeszek po pustej łupinie podciągnął twarz do okularu, omal nie łamiąc sobie przy tym nosa. Mosiężna rura teleskopu poderwała się gwałtownie ku górze, natychmiast jednak ukryte zębatki i przekładnie sprowadziły ją do poprzedniego położenia. Niechybnie zafiksowanego na jakimś niebieskim drogowskazie, na owym celu, którego tak bardzo pragnął teraz dociec!

Lecz kiedy przytknął oko do gumowej muszli okularu i poprzez skomplikowany układ zwierciadeł zająrzył w głąbiny Voertzee Wolk, rozczarowanie ukłuło go jak żądło. Żadnej przewodniej gwiazdy, żadnych światel nieznanego portu ani roju obcych statków. Nic, tylko czerni, bezdenna, bezpostaciowa, beznadziejnie zimna i obojętna czerni! Milcząca, martwa i pusta jak całe jego życie i jak ta przeklęta głowa, w której żadne drzwiczki ani sekretne szufladki za nic nie chcą się otworzyć! Dlaczego? Dlaczego wszędzie, gdzie się odwróci, napotyka tylko pustkę i chaos, brak w miejsce obecności, kąśliwą drwinę zamiast powagi, tysiące pytań zamiast jednej, klarownej odpowiedzi?

Zakręcił wściekle śrubami, kierując teleskop to tu, to tam. Nic, ale to absolutnie nic! Nie, zaraz — a jednak coś! Jakiś kształt niewyraźny, ledwie o ton jaśniejszy od tła przemknął w polu widzenia teleskopu. A może to był tylko powidok, omam wzrokowy spowodowany naciskiem okularu na gałkę oczną? Jeszcze nie dokończył myśli, kiedy ciemnoszare widmo ruchu powtórzyło swój taniec. Ułamek sekundy później kopuła obserwatorium zahuczła jak wielki kryształowy dzwon.

— Co...?

Nie patrzył już przez lunetę, nie musiał. Deszcz powyginanych, poszarpanych i ewidentnie nadtopionych zarem kawałków metalu obruszył się nie wiadomo skąd, bombardując zaciekle berylowe sześciokąty. Przez kilka chwil obserwował w kompletnym osłupieniu, jak nieforemne pociski na mgnienie wyłaniają się z ciemności i jak pajęczko cienkie rysy rosną na iluminatorach w miejscach uderzeń i rozkrzewiają się złowieszczo. Jeszcze chwila, a kopuła eksploduje tysiącem przezroczystych drzazg!

Uciekł krzycząc. Cokolwiek jednak wyrwało się z jego gardła, utonęło w huku wybuchającego obserwatorium. Ręce szukały na oślepiep szczelbi i znajdowały je z precyzją oraz szybkością, jakie tylko paniczny strach zdolny jest wydobyć z człowieka. Dziób „Netherlanden” rozpadał się wokół niego. Nie zdąży, nie prześcignie tej piekielnej, niszczycielskiej siły, która z narastającą furią parcelowała i pożerała okręt!

Był już vis a vis przejścia do sterówki, gdy coś pchnęło go brutalnie w plecy. Jakimś cudownym zbiegiem okoliczności, mapy — te same, którym wcześniej tak lekceważąco odmówił uwagi — zebrały się wielką zaspą u wylotu szybu i złagodziły upadek. A potem zmięte rulony owionęły mu twarz i z głośnym szelestem poczęły frunąć ku górze, wessane podciśnieniem. Hura-gan kurzu, ostrych odłamków i wszelkiego innego śmiecia runął na niego i przygwoździł do ściany. W ostatniej chwili złapał za coś — nogę od fotela, a może podłogową klamrę — i zaczął się czołgać pod prąd uciekającego gwałtownie powietrza, uparcie, na oślepiep, cal po calu, wciągając resztki tlenu do płuc coraz bardziej rozpaczliwymi haustami...

* * *

Jestem jak bankrut, pomyślał. Jak zdetronizowany władca, jak człowiek, którego w środku nocy zaskoczył komornik z nakazem eksmisji. „Netherlanden”, jego dom od prawie pół wieku, życie całe, jądro bytu i przedłużenie jestestwa, nie należał już do niego, lecz do demonicznej ekipy rozbiórkowej. W ciągu zaledwie kilku godzin okręt zamienił się w miejsce obce i nieprzewidywalne, w koszarne więzienie rodem z chorej wyobraźni jakiegoś gryzipiórka, w labirynt pułapek, makabrycznych niespodzianek i zatraskujących się drzwi. Nawet drogę do swojej kajuty musiał odkrywać na nowo, bo w międzyczasie statek uległ dramatycznym rekonfiguracjom.

Powlókł się do niej, półżywy z wyczerpania, bo nie wiedział, dokąd jeszcze mógłby pójść i co uczynić. Zniszczenie dziobowego segmentu było w praktyce równoznaczne z ostateczną utratą kontroli nad statkiem. Jard po jardzie sześciennym odbierano dostępną mu przestrzeń. Przejścia do coraz większej liczby kluczowych sekcji „Netherlanden” okazywały się zatarasowane litą ścianą. Czuł się jak szczur, zapędzany powoli do kąta. I co, kiedy już się w nim znajdzie? Przyparty do muru, w ostatnim rozpaczliwym zrywie rzucił się im wściekle do gardeł udowadniając w ten sposób, że tu jest, że istnieje, że nikomu nie wolno tak bezkarnie i bezdusznie wszystkiego odbierać? Śmieszna, żałosna myśl, wszak od dawna jego obecność tutaj musi być im znana i ewidentnie nie stanowi żadnej przeszkody w realizacji diabolicznego planu. Jest dla nich nikim i niczym, równie pozbawiony substancji i niewidzialny jak oni dla niego. . .

Nikim? To się jeszcze okaże.

* * *

Okręt nie kręcił się już jak bąk; widocznie precesja „Netherlanden” wadziła także im i w jakiś sposób została przez nich skorygowana. Im? Czy może jemu? Teraz to i tak bez znaczenia, pomyślał ze straceńczą obojętnością. Niewiele już tliło się w nim ognia, duch wystygł i spopielał. Ale na tę jedną, ostatnią manifestację wolnej woli, na ten pożegnalny akt oporu przeciwko ślepym i bezimiennym sługom przeznaczenia jeszcze go było stać.

Okręt wciąż rozbrzmiewał odgłosami postępującego demontażu. On jednak był dziwnie pewien, że nic ani nikt nie przeszkodzi mu w dotarciu do głównej maszynowni. Desperacja oraz klarowna jasność celu nieoczekiwanie wyostrzyły jego umysł i uporządkowała rozbiegane myśli. Mgła tysięcy pytań rozwiewała się z wolna, zrozumienie dojrzywało i każdy krok przybliżał go nie tylko do rufy „Netherlanden”, lecz także do sedna tajemnicy.

To pozorne szaleństwo, w którego centrum się znalazł, nie było wcale bezmyślną orgią niszczenia, lecz procesem dokładnie wyreżyserowanym. Jego statek był cwiartowany wedle podręcznikowej nieomal hierarchii kroków, już to dostrzegał. W istocie, gdyby to on miał kierować podobnymi działaniami, zaplanowałby całą rzecz dokładnie w ten sam sposób i prowadził ją w takim samym porządku. Taki był jego charakter, teraz, po tych wszystkich latach współistnienia z mechanicznym organizmem statku, że nawet zniszczyć nie potrafiłby niczego w akcie nieopanowanej furii. Już raczej pedantycznie rozłożyłby na części ze schematem w ręku, gdyby dany obiekt — międzygwiazdny krążownik na parę, lokomobila, chronometr, nieważne, co — dobiegł kresu swej użyteczności. Dobiegł kresu swej użyteczności, dobiegł kresu, dobiegł. . .

Zatrzymał się gwałtownie w pół kroku, zachwiał i ogarnięty nagłą słabością zawisł na grzechotliwym relingu. Jakże to, więc ja sam miałbym to wszystko wyrządzać sobie? Myśl była zbyt niedorzeczna, zbyt chora, by mógł ją przełknąć. Nie, jemu się to wszystko wciąż śni. Z nieprawdopodobnym realizmem i drobiazgowością, ale tylko śni, a jedyną drogą ku jawie jest właśnie to, co przed paroma minutami zamierzył. Ten czyn irracjonalny, krańcowy, zaprzeczający jego zmechanizowanej, zeszywniałej naturze. Zrobi to, dowlecze swój złowrogi majak do finału i po prostu obudzi się jak gdyby nigdy nic.

* * *

Maszynownia „Netherlanden”, ostatnia część statku, która wyglądała na nietkniętą, przywodziła na myśl bazylikę ku czci bóstwa industrialnych mocy. Szesnaście potężnych chemicznych konwerterów pomrukiwało do siebie basowo, pompy sapały niestrudzenie, turbiny grały unisono, elektryczne stopy iskrzyły filuternie, tłoki i koła zamachowe odmierzały czas swymi posunięciami i obrotami. Całe bogactwo przepastnego Voertzee Wolk, zagarnięte

przez czerpak statku, kończyło tutaj swój chaotyczny taniec i zarazem rozpoczynało go od nowa. Wodór i tlen reagowały ze sobą w kontrolowanych warunkach, związki węgla spalały się w radiatorach pod kotłami, z których przegrzana para wędrowała do rozprężników i w końcu poprzez dysze ulatywała z powrotem w kosmos, popychając okręt słabo, lecz za to bezustannie. Wszystko nadal działało bez zakłóceń, chociaż transport surowców już jakiś czas temu musiał ulec przerwaniu. Widocznie maszyna czerpała z buforów zapasowych...

Wszedł, a raczej wślizgnął się wstydliwie w półmrok cylindrycznej hali jak nikkemnik, który za chwilę zdradzi wszystko, co było dla niego najdroższe i najświętsze. Rozum próbował go uspokoić; wszak, jeśli to jawa, to i tak nic z tego nie ocaleje, jeśli zaś tylko senne majaczenia, żadnym prawdziwym złem jego postępek nie zaowocuje. A jednak żal ścisnął go za serce i lęk obudził się w nim na nowo. Gdzieś z najgłębszych zakamarków mózgu wychynał nagle strzęp wspomnienia, niemożliwie odległego i wypłowiałego, odcisk w pamięci całkowicie niemal zatarty. Jego dłoń, o ileż młodsza, opuszcza się wraz z ciężką pieczęcią na jakiś dokument, gazeta i sprawozdanie jedno obok drugiego na biurku, dwieście pięćdziesiąt tysięcy zabitych oraz rannych, straty materialne rządu... Czyżby to jego własna przeszłość stanęła mu znienacka przed oczami, czy tylko jeszcze jedna z onirycznych konfabulacji?

Mimowolnie przesunął palcami po gładkim, rozgrzanym cielsku najbliższego konwertera. Nie, tak było w istocie, a zatem niszczył już przedtem. Destrukcja była wpisana w jego duszę, ale musiał zatoczyć pełne koło i przejść przez wszystkie ekstrema oraz formy ucieczki przed nieuniknionym, żeby to wreszcie pojąć.

Nie wiedzieć czemu uśmiechnął się błogo do owych myśli. Prawda o sobie, choćby nawet tak banalna i podła, lepsza była od jej kompletnego braku. Najgłębiej skryta zagadka obnażyła w końcu swe zimne ostrze i dźgnęła go w bok, lecz on przyjął to niemal z ulgą. A więc robi to, co robi, bo po prostu nie ma innego wyjścia, bo taka jest człowiecza rola w tym universum — burzyciela porządku, siewcy chaosu, nieobliczalnego i nieprzewidywalnego fatum, które pomimo całej swej pozornej rozumności działa zawsze i wszędzie jak kamień spadający w środek precyzyjnego mechanizmu. Samotny lot donikąd miał być tej tezy zaprzeczeniem, ale nie da się zaprzeczać oczywistemu. To nie był żaden sen, to była rzeczywistość, która dla niego już wkrótce się zamknie, zwieńczona dramatycznym finałem.

Bez pośpiechu wszedł na górny poziom galerii, gdzie bateria kontrolnych manometrów, termopar i zaworów pobłyskiwała oleiście. Czułym ruchem pogładził mosiężne tuleje, przetarł szkła, za którymi czarne wskazówki podrygiwały w rytm maszynowego pulsu, drżącymi opuszkami przesunął po dźwigniach, wypolerowanych jego własnymi rękami do zwierciadlanej gładkości. W końcu zatrzymał dłoń na wielkim czerwonym kole, zaplombowanym odkad statek opuścił stocznię gdzieś tam hen, daleko w czasie i przestrzeni. To był główny reduktor odcinający dopływ pary z kotłów do dysz. Wystarczyło przekręcić go w prawo do oporu przy jednoczesnym zablokowaniu bezpieczników inercyjnych. Od tej chwili pozostanie mu od trzech do pięciu minut, nim ciśnienie w kotłach przekroczy dwieście siedemdziesiąt atmosfer i rozsądzi je jak papierowe torebki.

Zawahał się, lecz tylko przez mgnienie. Trzasnęła zerwana plomba i koło ruszyło z nadspodziewaną lekkością. Bezpieczniki natychmiast odpowiedziały gwizdem ulatniającego się nadmiaru pary i jeden po drugim umilkły, kiedy opuścił dźwignie zaworów do pozycji „blok”. Trzy do pięciu minut, najdłuższych w jego życiu. Lecz zarazem jakże wspaniałych dzięki świadomości, że to do niego należy ostatnie słowo, że to nie żadne zło bez oblicza, ale właśnie on postawi kropkę nad „i”. Dreszcz przebiegł go od stóp do głów. W nagłym uniesieniu wyrzucił ramiona w górę i ryknął na całe gardło:

— Wiem, kim jestem, i mogę, co zechcę! Nikt z was mi już tego nie zabie...!

Nie dokończył. Nagły wir powietrza wykręcił mu rękę, porwał go w górę, rzucił o relingi i jak worek pełen szmat przeciągnął po kratownicach. Zwalniające już bezpieczniki znowu przyspieszyły, czarne strzałki ciśnieniomierzy skoczyły dziko, czerwone koło skrzypnęło i wróciło do swej pierwotnej pozycji, ogłuszający świst pary wypełnił maszynownię...

Chciał wstać, rzucić się na drewniane rękojeści, ocalić resztki swej determinacji. Ale jego palce ześlizgnęły się bezsilnie po mosiężnym słupku. Niewidzialna dłoń pochwyliła go za kark i cisnęła o ścianę niczym lalką, a potem odwlokła bezceremonialnie i porzuciła niedbale na progu rufowej śluzy. Właz do niej był szeroko otwarty.

— Błagam, ja chcę tylko zrozumieć — zakwilił rozpaczliwie. — Tylko zrozumieć! Dlaczego zabieracie mi nawet to?

Nikt mu nie odpowiedział, nikt nie przejął się jego błaganiami. Maszynownia pustoszała na jego oczach, znikła element po elemencie jak niepotrzebna już scenografia, tłoki, przekładnie, mimośrodki i łopatki turbin — wszystko topniało i rozpływało się na podobieństwo fatamorgany. Oślepiające światło elektrycznego łuku wybuchło w kilkunastu miejscach naraz, para trysnęła krzyżującymi się gejzerami i zaczęła uciekać przez szczeliny w kądłubie, których liczba rosła lawinowo. Ujrzał, jak ażurowa wstęga kładki wybrzusza się, pęka w poprzek, wywija się i pędzi ku jego twarzy jak ogon skorpiona.

— Boże mój...

Żadna myśl ani strach nawet, bo ten zdążył ustąpić miejsca tępej rezygnacji, lecz czysty, zwierzęcy instynkt dodał mu ostróg. Zerwał się na równe nogi i nim pęknięta kładka zdążyła zagarnąć go swym poszarpanym jęzorem, wskoczył do przedsionka śluzy. Szczęk opadających rygli i niemal jednoczesny łoskot złomu, usiłującego staranować masywne drzwi, to było całe jego requiem. Zatrzaśnięty w stalowym grobowcu ciśnieniowej komory, zagnany do najodleglejszego narożnika nie miał już dokąd uciec. Owszem, istniało jeszcze jedno wyjście — przez zewnętrzny właz — tylko cóż to za wybór? Niby żaden, po prostu odwlecze koniec o nędzne kilkanaście minut. Lecz mimo wszystko godniej jest wstąpić na szafot samemu niż czekać na kata w celi, w której zamknięto go bez sądu i bez wyroku, bez jakiegokolwiek uzasadnienia czy szansy na obronę, bez żadnych wyjaśnień.

Skafander przyoblekł na wpół świadomie, obojętny na to, czy ów konkretny egzemplarz w ogóle nadaje się do użycia. A potem sięgnął do rygli... które znikły, nim położył na nich swą dłoń. Właz, kompresor, okratowana lampa pod sufitem, ściany, wierzaje i podłoga śluzy — wszystko to rozwiało się jak mgła o poranku i pustka rozpostarła się nagle z każdej strony. Jego niegdyś wspaniałe „Netherlanden” dogorywał bezgłośnie, rozpuszczał się w tym bezmiarze rojem scyntylujących odłamków, w które niebawem pewnie i on się zamieni. Może mu tego łaskawie oszczędzą, może się wcześniej po prostu udusi... Ale bez względu na ostateczną formę i smak cierpienia, niczego więcej już się nie dowie, choćby błagał i wykrzykiwał swoją gorycz do ostatniego tchu. To zresztą nastąpi niebawem, wskaźnik manometru z fatalistyczną bezwzględnością zbliża się do zera...

...by na dwie kreski przed czerwonym polem nieoczekiwanie znieruchomieć, a potem zawrócić.

* * *

— To była nasza czwarta próba, panie prezydencie.

— I mówią pan, że tym razem o mało co nie rozwalił statku?

— Gdybyśmy w porę nie zneutralizowali systemów autoniszczących...

— Hmm...

— Jest jeszcze taki wariant...

— Nie, żadnych nowych wariantów.

— Słucham?

— Koniec.

- Ale... Przecież nie możemy go tu zostawić!
- Już zdecydowałem
- A co ze wszystkimi naszymi zasadami? Co z prawdą?
- Jaką prawdą?
- Ludzie powinni się dowiedzieć...
- Dowiedzieć? Tylko o czym? O błędach, które Admirał popełnił, doprowadzając niemal do unicestwienia naszego korpusu ekspedycyjnego przez Obcych? O bitwie, ostatecznie zwycięskiej, niemniej okupionej trudną do zaakceptowania liczbą ofiar? O flagowym FSS „Netherlanden”, który jako jedyny z tego piekła ocalał i o samotnym szaleńcu, odnalezionym na pokładzie? O tym, jak przez rok próbowaliśmy i nie udało nam się go wyciągnąć ani z pokancerowanego krążownika, ani z urojeń, w których zasklepił się jego okaleczony traumą umysł? Ludziom, drogi doktorze, do niczego taka prawda nie jest potrzebna. Ludzie nie chcą psychiatrycznych ekspertyz, tylko bohaterów. Najlepiej żywych i zdrowych, ale jak znam życie, to woskowa kukła złożona z całą pompą na kryształowym katafalku też im wystarczy.
- Gdyby pan prezydent zezwolił nam jeszcze na jeden...
- Nie, nie zezwalam. Nie mam również zamiaru odwlekać decyzji o budowie mauzoleum.
- Mauzoleum kogoś, kto wciąż żyje?!
- Tak. I wolałbym, żeby to pozostało między nami.